

RYSZARD STEMPLOWSKI

Moje spotkanie z Geremkiem

Ten Polak mógł się mierzyć z największymi'. Na jego pomniku dałbym tylko jedno zdanie: „Rodacy wdzięczni wielkiemu współtwórcy przemiany ustrojowej”.

Był człowiekiem wielu kultur. Spełniał rozmaite role społeczne - uczonego, polityka, nauczyciela... Używając swej wielkiej inteligencji i głębokiej wiedzy dla dobra Sprawy Polskiej, zachował pamięć swych żydowskich korzeni. W biografii Bronisława Geremka, zapewne i w jego świadomości, istniał ten ślad tragiczny Holocaustu, od getta pod niemiecką okupacją poczynając.

Potrafił wczuć się w rozmaite konwencje kulturowe. Rozumiał zachowania innych, był zasadniczy, bywał bezwzględny, a zarazem miał nastawienie liberalne. Jego rozmówca odnosił wrażenie pełnej uwagi. Geremek nie znosił jednak łatwego spoufalenia, co mylnie odbierano niekiedy jako wyniosłość.

Stale mocował się z pewnego rodzaju sprzecznością. Jako uczonego bowiem kierował się wzniosłymi ideami i wysokimi wartościami, lecz w swojej roli polityka pragnął im podporządkować racjonalność polityczną. W tej zaś najwyższą wartością jest władza i z tym właśnie trudno było mu się pogodzić. Szczególnie w skomplikowanych okolicznościach ustrojowej transformacji. Przeto raz jedna, innym razem znów druga strona tej nierówności brała w nim górę. Geremek w tej samej chwili mógł się jednym wydawać moralistą, a innym - oportunistą. Jego zasadnicza postawa była jednoznaczna, ale nie dla każdego od razu czytelna. I jeśli ktoś nie był w stanie go zrozumieć, to rzeczywiście mógł nie być pewien, czy Geremek, idąc po schodach, wspina się po nich, czy może raczej schodzi.

Kto się z nim bliżej zetknął, nie mógł go nie szanować, ale jego przewag niejedną się obawiał. Bronisław Geremek chciał i potrafił być spolegliwy dla współpracowników, ale - choć sam był duchem niezależnym i umysłem niepospolitym - niezależność oraz intelekt

⁷ Rozszerzona i uściślona wersja wspomnień spisanych z inicjatywy redaktorki „Przeglądu Polskiego” (dodatek kulturalny do nowojorskiego „Dziennika Polskiego”) i opublikowanych w numerze z 18 lipca 2008 r.

innego poddawał próbom lojalności i logiki, tak bowiem ukształtowały go dramatyczne doświadczenia własnego życia.

Byłem jednym z ogromnej rzeszy ludzi, z którymi zetknął się w swej działalności. Nie potrafię jednak zapamiętać go inaczej niż przez pryzmat mego własnego, ograniczonego doświadczenia, swą ocenę generalną tego męża stanu osadzając w konkretnym kontekście, w określonym wycinku rzeczywistości kształtowanej pod wielkim wpływem Geremka. W ten sposób też tę ocenę uzasadniam. W przeciwnym razie byłaby dla Czytelnika abstracyjną deklaracją.

Po raz pierwszy rozmawialiśmy jesienią 1969 r. w Instytucie Historii PAN. Ja zaczynałem jako doktorant, on - był już uczonym z habilitacją. Zajmowaliśmy się odmiennymi okresami i rzadko się w Instytucie spotykaliśmy. Widzę go jednak w mieszkaniu Włodzimierza Brusa przy al. Niepodległości, chyba w początkach 1970 r. Omawialiśmy w niewielkim gronie rolę związków zawodowych i studenckich na Zachodzie. Geremek widział w związkach zawodowych potencjalną bazę społeczną przemian. Kiedy zauważyłem, że trzy główne centrale w znanej mu Francji obejmują tylko 40 procent zatrudnionych, ripostował: „Ale jakich! Nie stenotypistki są ważne. Liczą się linotypiści”. Niejedno dałoby się o tej tezie powiedzieć, ale w wizję ustrojowotwórczą związków zawodowych trudno mi było uwierzyć.

W końcu września 1980 r. sytuacja w kraju była niezwykła, rozmowy też nie były zwyczajne. Geremek bardzo już się liczył jako uczestnik nowego ruchu. Powiedział mi, że niepokoi go omawiany w IH PAN projekt Związku Zawodowego Pracowników Nauki. „Jeśli to nie jest dywersja, to tak, mógłby z czasem powstać”. Obawiał się antysolidarnościowej akcji w okresie szykowanego przejścia pracowników nauki ze Związku Nauczycielstwa Polskiego do NSZZ „Solidarność”. Najważniejsze dla mnie osobiście było jego stwierdzenie, dość enigmatyczne: „Pan jedzie, a tu myśleliśmy nad planem działań”, czy jakoś tak, dokładnie już nie pamiętam. Odpowiedziałem, że jestem gotów zostać w kraju, na co Geremek, że jednak powinienem jechać, gdyż mój wyjazd do Niemiec Zachodnich na stypendium Fundacji Humboldta będzie „pożyteczny w nowej sytuacji”, ponieważ otrzymałem je „z ulicy”, występując samodzielnie do Fundacji, a nie dzięki poparciu polskich urzędów, więc moja „pozycja z rozmówcami zagranicznymi będzie czysta”. Byłem trochę zawiedziony, ale też nie miałem jakiegóż bardzo silnej motywacji do nowego rodzaju publicznej

aktywności, zresztą miałem atrakcyjny program badawczy; pocieszałem się nadto aluzją do owej „pożyteczności”. I rzeczywiście, ta rozmowa zapoczątkowała ciąg działań i zdarzeń, które po wyborach 1989 r. przyniosły propozycję Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego wysunięcia mej kandydatury do objęcia stanowiska w służbie publicznej. Klubowi przewodniczył Bronisław Geremek i to była jego inicjatywa. Podczas mego „przesłuchania” przez Prezydium OKP nie zabierał głosu.

Zanim jednak ta inicjatywa się zmaterializowała, współpracowaliśmy według uprzednio wypróbowanej metody. Jesienią 1989 r. Geremek spowodował, że jako członek Zarządu Fundacji Batorego, kierowanego przez Zbigniewa Bujaka, byłem nieformalnym „przedstawicielem «Solidarności»” na budapeszteńskiej konferencji partii socjaldemokratycznych w sprawie rozbrojenia. Geremek przeczytał moje sprawozdanie i w rozmowie ze mną sformułował swoją prognozę rozwoju KBWE, która potem w zasadniczej mierze się sprawdziła. Chodziło o to, żeby instytucja ta nie stała się dla Polski namiastką NATO (o tym publicznie się wtedy nie mówiło). Przewidywał instytucjonalizację KBWE i „europejską” aktywizację sowiecką. Kiedy w końcu października 1989 r. zainaugurowała swe posiedzenia OKP-owska, klubowa (poselsko-senatorska) Komisja Zagraniczna pod przewodnictwem posła Janusza Onyszkiewicza, referowałem temat „Polska w światosystemie”, lecz Geremek wcale wątku NATO czy EWG nie poruszył, akceptując milcząco moją formułę, że nawet gdyby doszło do rozwiązania Układu Warszawskiego, NATO rozwiązaniu nie ulegnie. Tezę o celowości jednoczesnego rozwiązania lansowano z Moskwy. Przewodniczący OKP i przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych unikał zaogniania dyskursu publicznego i zadrażnień z ciągle dominującym sąsiadem. Nie stawiał jednak Układu Warszawskiego i NATO na jednej płaszczyźnie. Mało kto miał tak dobre wyczucie taktyki.

Geremek jako przewodniczący OKP i Komisji Spraw Zagranicznych doceniał konieczność zreformowania MSZ i pragnął tę reformę stymulować poprzez obsadę stanowisk nowymi ludźmi. Miałem być jednym z nich. Geremek akceptował moją koncepcję reformy. Jesienią 1989 r. skierował do ministra Krzysztofa Skubiszewskiego stosowne pismo, ale rozmowa u ministra pokazała, że choć zgadza się w zasadzie z moją koncepcją reformy MSZ, wolałby mnie na placówce niż w centrum decyzyjnym. Do projektów Geremka podchodził Skubiszewski z rezerwą. A przecież

w OKP rodziły się projekty dotyczące wszystkich głównych instytucji. Także, na przykład, służb specjalnych. To właśnie wskutek sugestii Geremka ówczesny wiceminister i przyszły minister spraw wewnętrznych Krzysztof Kozłowski rozmawiał ze mną w styczniu 1990 r. w sejmowej siedzibie OKP o ewentualnej współpracy w tym zakresie. Jednak ustawy o Urzędzie Ochrony Państwa jeszcze nie było, a czas uciekał i skończyło się tym, że z inicjatywy OKP (znów Geremek) Prezydium Sejmu powołało mnie na szefa Kancelarii Sejmu. W ówczesnym porządku konstytucyjnym Sejm był najwyższym organem władzy państwowej. Rola OKP i osobiście Geremka była decydująca. Od czerwca 1990 r. do grudnia 1993 r. współpracowałem z nim jako przewodniczącym klubu parlamentarnego OKP (potem Klubu Parlamentarnej Unii Demokratycznej) i zarazem przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych, pomagając Sejmowi w przejściu z jednego ustroju państwa do drugiego. Współpraca układała się wzorowo. Sądzę, że moją reformę Kancelarii Sejmu i generalnie jej działanie obserwował uważnie, ale raz tylko dał temu wyraz, zresztą aprobująco. Kres tej współpracy położyły jednak wybory 1993 r., wygrane przez SLD i PSL, i wybór Józefa Oleksego na marszałka Sejmu. Musiałem podać się do dymisji. Geremek zaprosił mnie wówczas na pożegnalne spotkanie z Prezydium Klubu Parlamentarnej Unii Demokratycznej. Zapamiętałem ten gest, ponieważ to było i jest jedyne poselskie podziękowanie publiczne za moją pracę dla Sejmu.

Niektórzy sądzą, że wysoką efektywność polityka na stanowisku kierowniczym osiąga się poprzez budowę stosunków dominacji i zależności, nawet klientelizmu. Tymczasem nam „wystarczyła” zgodność - raczej od dawna oczywista i niewymagająca nowych uzgodnień - co do strategicznych celów przemiany ustrojowej, znajomość ogólnych zasad parlamentarnych oraz fakt, że nie trzeba nam było wielu rozmów i słów, żeby się zrozumieć. „Wy umiecie ze sobą rozmawiać”, powiedziała mi jego nieoceniona, wszystkich znająca i wszystko wiedząca oraz organizująca asystentka Maria de Rosset-Borejsza.

Nie byliśmy z Geremkiem przyjaciółmi w sensie zażyłych stosunków osobistych; byliśmy sojusznikami w dobrej - Wielkiej - sprawie i to nam w zupełności wystarczyło. Jako przewodniczący OKP, a to stanowisko w latach 1989-1991 należało do kilku najważniejszych w państwie, Geremek starał się przede wszystkim osiągnąć porozumienie co do pryncypiów, bez formalizowania,

resztę uzależniając od okoliczności. Tylko raz mieliśmy wyraźnie odmienne zdania, kiedy Prezydium OKP - i osobiście Geremek - domagali się ode mnie, żebym dla Sejmu kupował tylko samochody „polskie” marki Polonez. To było wtedy, kiedy premier Waldemar Pawlak demonstracyjnie zaczął jeździć polonezem i szykował się do tego marszałek Oleksy. Na postulaty Oleksego i Geremka nie mogłem się zgodzić, ostatecznie to ja odpowiadałem za pewność obsługi sejmowej i racjonalność wydatków, a zakup polonezów byłby w moim najgłębszym przekonaniu ryzykiem i marnotrawstwem. Muszę stwierdzić, że peeselowsko-eseldowski populizm w wykonaniu Geremka zaskoczył mnie początkowo. Przecież Geremek sam nie mógł w coś takiego wierzyć! Uznałem to za gest taktyczno-propagandowy. I rzeczywiście, na jednorazowym podniesieniu tej sprawy Geremek poprzestał. Politycy PSL i SLD także porzucili swego poloneza.

Po wyborach 1997 r. Geremek został ministrem spraw zagranicznych. Ja byłem już od wiosny 1994 r. ambasadorem RP w Londynie, mianowany przez prezydenta Lecha Wałęsę na wniosek ówczesnego ministra spraw zagranicznych Andrzeja Olechowskiego. Nie zdołałem jednak osiągnąć z Geremkiem jako nowym ministrem pełnej zgodności, gdyż miał on po prostu inną od mojej hierarchię ważności zagranicznych partnerów. Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Północnej Irlandii umieszczał na dalekim planie. Geremek cierpiał z powodu napięć francusko-amerykańskich, a to zwłaszcza od czasu swego długiego i ogromnie brzemiennego politycznie pobytu w waszyngtońskim Wilson Center for Scholars (1978). Musiałem się więc podporządkować. Ambasador bowiem otrzymuje instrukcje od ministra spraw zagranicznych. Nie może przecież uprawiać dyplomacji prywatnej. Od jesieni 1997 r. obowiązywała już zresztą nowa konstytucja, a jej art. 146 stwierdza: „Rada Ministrów prowadzi politykę wewnętrzną i zagraniczną”. Prezydent schodził na dalszy plan. Geremek szanował kompetencje, w tym prerogatywy, Prezydenta Rzeczypospolitej, lecz kierował się normami konstytucji, której był współtwórcą. I tego samego oczekiwał od ambasadorów.

Bronisław Geremek był zwolennikiem projektu utworzenia w Warszawie uniwersytetu „europejskiego”. George Soros zgodził się dać na początek 50 mln dolarów. Miasto miałoby ofiarować działkę. Wiosną 1998 r., jeśli dobrze pamiętam, zadzwonił do mnie do Londynu, pytając, czy chciałbym w tym uczestniczyć? Zgodziłem się bez wahania. Nie tylko dlatego, że moja misja zbliżała się

do końca. Po kilku dniach w Warszawie omawialiśmy założenia projektu. To była wspaniała sprawa, współorganizować z Geremkiem europejski uniwersytet. Kiedy jednak zaczęliśmy o tym rozmawiać, pojawiły się różnice. Geremek chciał uniwersytetu jak najbliżej centrum, najdalej na Polu Mokotowskim, może na Powiślu, w najgorszym wypadku koło toru łyżwiarskiego na Stegnach. Ja optowałem za Polami Wilanowskimi. Geremek uważał, że to za daleko od bibliotek, ale ja czułem, że on wszystko przymierza do pierwszego uniwersytetu - w Bolonii. Argumentowałem, na poły fantastycznie, że zrobimy bibliotekę elektroniczną. Po roku okazało się, że budowniczym instytucjonalnym musi być fundacja, w której będą zasiadać profesorowie na czele z wybitnym historykiem z Uniwersytetu Warszawskiego. Spontanicznie zareagowałem, że powinno ich być koniecznie *ein Hundert*. Byłem pewien, że Geremek zna też radykalniejszą wersję bismarckowskiego powiedzenia. Wkrótce miało się zresztą okazać, że władze miejskie żadnej działki dać nie chcą, torpedując projekt. Ileż straciliśmy jako społeczeństwo, nie potrafiąc wykorzystać zaangażowania Geremka. Ale to zaproszenie z jego strony cenię sobie bardzo wysoko.

Powracając z placówki, przystąpiłem do konkursu na stanowisko dyrektora organizującego nowy Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. Premier Jerzy Buzek mianował mnie po obowiązkowym zasięgnięciu opinii ówczesnego ministra spraw zagranicznych Geremka. Opinia ta miała decydujące znaczenie. Jednakże Geremek nie miał czasu ani specjalnego zainteresowania Instytutem. I zanadto polegał na swoich urzędnikach, wśród których nie brakowało ludzi działających według reguł wypracowanych jeszcze w PRL. Nowa ustawa o Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych nie była więc dobrze wykonywana. Tylko jeden przykład z wielu: Minister pisał na dokumencie: „Proszę przyjąć do wiadomości, że Warecka [chodziło o siedzibę Instytutu] stanowi *acqui PISM*”, a ministerialni dyrektorzy to ignorowali, opóźniając organizację Instytutu. Chcieli nowy PISM podporządkować ministrowi (czyli *de facto* - sobie), jak dawny PISM w PRL, niezgodnie z nową ustawą. Dopiero gdy postawiłem sprawę na ostrzu noża, Geremek uznał moje racje. To także wiele o nim mówi. Kto miał uzasadnione argumenty, mógł na niego liczyć. Umiał słuchać i postępował sprawiedliwie. Nie każdy z jego następców tak reagował.

Geremek poniósł fiasko jako przywódca partyjny. Nie zdołał też przedtem sformować rządu. Nie zmienił bowiem po wyborach

1989 r. sposobu działania, choć warunki działania uległy zmianie. Jego nastawienie wynikało raczej z doświadczenia konspiracyjnego, z przekonania o znaczeniu lojalności osobistych, z przeswiadczenia o decydującej wartości testu, jakiemu ta grupa została poddana przed 1989 r. Był przekonany, że właściwie wystarczy zgodność co do zasad, że decyduje wspólnota doświadczenia, suma wartości najbliższych mu uczestników opozycji, a ponieważ - oczywiście - ma się rację, to zyska się i posłuch, i poparcie. Nie wystarczyło to w działalności wymagającej skali większej, w odniesieniu do zbiorowości mocniej zróżnicowanych. I stawka się zmieniła. Geremek, podobnie jak większość intelektualistów-architektów przemiany ustrojowej myślał w kategoriach grupy raczej jednorodnej ideologicznie i zamkniętej. Geremek i większość ludzi jego pokroju nie potrafili dostatecznie otworzyć się na innych. Naturalnie, akceptując jednych, odrzucało się innych. To zaś doprowadziło do powstawania grup kwestionujących wkład Geremka i właściwie całej elity III Rzeczypospolitej - pod hasłem odrzucenia monopolu „autorytetów moralnych”. Powiedziałem kiedyś Geremkowi, jeszcze w czasach OKP: „Ludzie się nas boją”. Mówiliśmy o reformach ustrojowych. Geremek nie za bardzo się tym przejął. Uważał, że jeśli to nawet jest „w jakiejś mierze nieunikniona prawda”, to wszystko się zmieni pod wpływem dobroczynnych skutków reform. Był idealistą. Ja byłem jeszcze bardziej naiwny i gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że za kilkanaście lat będziemy mieli w Polsce taki stan walki politycznej, w jakim znaleźliśmy się niedawno, to uznałbym chyba, że mówi mi to jakiś dywersant, człowiek małej wiary, ktoś pragnący mnie zniechęcić... My wszyscy byliśmy po trosze „naiwnymi idealistami”, ale gdyby takich ludzi po 1968 r. nie było, gdyby zabrakło wówczas naszego entuzjazmu, gdzie byłaby dzisiaj Polska?

Trudno jednak dopatrzeć się naiwności w dążeniu Geremka do rokowań Okrągłego Stołu i - jeszcze trudniej - w akceptacji wszystkich jego konsekwencji. Geremek był jednym z głównych negocjatorów, może najważniejszym. Przewodniczył ze strony „Solidarności” rozmowom przy „stoliku politycznym”, przy którym PZPR reprezentował jako współprzewodniczący tych rozmów członek Biura Politycznego profesor Janusz Reykowski, skądinąd kolega szkolny Geremka. Historia Okrągłego Stołu czeka na swoich historyków. I na publikację kolejnych źródeł. Ja na przykład chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o tym, o czym

Geremek rozmawiał ze Stanisławem Cioskiem w ogrodzie byłej rezydencji Gierka w podwarszawskim Klarysewie.

Geremkowi niejednokrotnie proponowano z zagranicy stanowiska profesorskie. Znany mi od dawna latynoamerykanista profesor Ruggiero Romano prosił mnie - jeśli dobrze pamiętam - w Bernie, podczas Międzynarodowego Kongresu Historii Gospodarczej (sierpień 1986 r.), żebym przekazał Geremkowi szczegóły jednej z propozycji. Powiedziałem wtedy, że - moim zdaniem - Geremek nie może wyemigrować, jeżeli nie chce przekreślić swego życia. Kiedy potem na korytarzu w IH PAN, siedząc we wnęce ściany *vis-a-vis* jego pokoju na pierwszym piętrze, relacjonowałem mu tę rozmowę, mimo uparcie koło nas przechodzącego tam i z powrotem „pracownika administracyjnego”, powiedział mi o innych tego rodzaju projektach. Było oczywiste, że nie emigruje. Rozumieliśmy się doskonale.

Prawie nigdy nie rozmawiał o antysemityzmie, w każdym razie nie w mojej obecności. Wątek ów pojawił się jednak parę razy. Kiedyś (jesień 1990 r.) posłanka OKP wyraziła się w jego obecności, że ambasadorem w wielkiej stolicy nadal jest „hunwejbín marcowy”. Na to Geremek tym swoim znanym, zduszonym głosem, pobłażliwie i rozwlekle, z machnięciem ręki: „No tak, wiadomo, ale dajmy już spokój, ważniejsze mamy sprawy”. Nieco później dyskuutowaliśmy o projekcie ustawy o mniejszościach oraz stereotypowych uwagach jednego z senatorów o „gościach w Polsce” i Geremek stwierdził: „Żydzi nie są mniejszością narodową”. Nie było wtedy czasu, żeby tę kwestię wyjaśnić, a potem już nie było też okazji. Innym znów razem rozmowa zeszła na temat antysemickich wypowiedzi o jednym z kandydatów na bardzo ważny urząd. Zapytałem, czy ów kandydat jest pochodzenia żydowskiego? Odparł Geremek: „Tak mówi Kościół”. Na to znowu ja: „Ale on się przecież uważa za Polaka, a w sytuacjach typowych wątpliwości rozstrzyga czynnik subiektywny, czyż nie tak?”. Geremek przytaknął, ale raczej gestem niż słowem. Wiedział o tych sprawach więcej ode mnie i pewnie więcej dostrzegał tu złożoności.

Niektóre działania Geremek prowadził w stylu, który odchodzi do historii. Wiem z całą pewnością, że świadom był wzrostu znaczenia mediów, lobbystów, wizażystów, spin doktorów, telewizji, pokazywania się w tłumie modelek, piłkarzy, aktorów, dziennikarzy. Kiedy na zaproszenie redaktora naczelnego „Estudios Latinoamericanos” (rocznik IH PAN) uczestniczył (1988 r.) w rozmowie-wywiadzie z jego mistrzem, profesorem Marianem

Małowistem, powiedział: „Informacja to władza”. Tym bardziej, kiedy już był w Sejmie, dostrzegał ten nowy u nas trend *public relations*, ale uparcie trzymał się przekonania, że lepiej poradzi sobie bez tej „technologii”. To było raczej intuicyjne niż przemyślane, współgrało też ze wspomnianą postawą samoizolowania się grupy wybitnych opozycjonistów sprzed 1989 r. Niejeden intelektualista sądzi, że ponieważ ma rację, to reszta - ludzie i sprawy - musi się odpowiednio dostosować i ułożyć. To jest „oświeceniowa” racjonalność idealisty, podczas gdy racjonalność polityczna realisty nakazuje robić to, co sprzyja utrzymaniu się przy władzy. Geremek często zadowalał się osiągnięciem panowania poprzez uzyskiwanie przewagi nad argumentami adwersarza, a nie panowania w sensie stosowania przymusu z pozycji kierowniczego stanowiska w państwie. Zależało mu na przekonywaniu innych, a nie na zmuszaniu ludzi do akceptacji wszystkiego „z góry”, czyli powielaniu tego, co odrzucił w 1968 r., zrywając z socjalizmem państwowym PZPR. Przyszłość Polski widział inaczej. To doświadczenie zerwania oraz podobne wyobrażenia o polskiej przyszłości w NATO i w jednoczącej się Europie bardzo nas łączyły, mimo że byłem tylko trzeciorzędnym jego współpracownikiem. I tak bardzo żał, że jego talent przewidywania zawiódł go owego nieszczęsnego dnia. Był przecież Polsce nadal bardzo potrzebny. Nie zostanie zapomniany.